

MARCIN MORTKA

Smok, dziewica i salwy burtowe

Są takie dni, kiedy wszystko, po prostu wszystko musi pójść źle, a diabeł morski do spółki z Neptunem zacierają z uciechą łapska. Pierwszy tydzień sierpnia Roku Pańskiego 1750 zdecydowanie do takich dni należał.

Zacznijmy od tego, że jako angielski korsarz-renegat na służbie gubernatora Francji hrabiego de Truesse, obłożony wyrokiem śmierci dowódca około dwustu wilków morskich o szerniałych i splugawionych duszach oraz notoryczny, nieuleczalny pechowiec, generalnie nie miałem wielu powodów do zadowolenia z życia. Nienawidziłem ścieżki wytyczonej mi przez los równie szczerze i zawzięcie jak mojego obecnego mocodawcy, rozkochanego w opium sadysty, oraz byłego dowódcy, którego podłość i kunktatorstwo zmusiły mnie w końcu do dezercji z Royal Navy. Nienawidziłem Francuzów, którym musiałem salutować, nienawidziłem konwojowania statków z niewolnikami na sprzedaż, nienawidziłem nawet moich przyjaciół, którzy bezustannie namawiali mnie do kolejnej dezercji. Tych ostatnich głównie za to, że mieli rację. Kiedy więc nadeszło nowe zadanie, a tym razem było to dostarczenie ważnych meldunków do rąk własnych królowi Francji, podjąłem się go z ochotą, widząc wreszcie szansę wyrwania się z kręgu monotonii. Nie doceniłem jednakże mojego pecha, który wyslizgnął się z Port-Au-Prince tuż za moją dumną fregatą o nazwie „Magdalena”, swego czasu zdobytą w mrocznych okolicznościach na Hiszpanach.

Zaczął się od tego, że jak na wygodnego dowódcę przystało, postanowiłem przyuczyć jednego z marynarzy do roli kapitańskiego stewarda. Na termin przyjąłem niejakiego Johna Grommeta, który szczycił się tym, iż kiedyś służył w przydrożnej karczmie w Devonshire. Doprawdy nie wiem, czym się Grommet w owej karczmie zajmował, gdyż pierwsze zadanie, jakim było usmażenie jajek na bekonie, przerosło nieszczęśnika całkowicie. Kiedy już ugasiłszy płomienie w kajucie kapitańskiej, a pierwszy oficer Vincent Fowler zdołał oderwać moje dłonie od szyi marynarza, okazało się, że spłonęły rozłożone na biurku mapy. Niestety, nie tylko moje.

Płomienie pożarły bowiem również doskonałe, bardzo cenne mapy nawigatora fregaty, Jean-Pierre’a Miliarda, które pożyczyłem poprzedniego dnia, by porównać z moimi, cokolwiek już wyświechtanymi. Mój pech polegał jednakże na tym, że Miliard, aczkolwiek genialny nawigator, był również najwredniejszym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek wypluło piekło. Co przesądniejsi marynarze twierdzili potem, że paskudny sztorm, jaki nas dopadł następnego dnia, był bezpośrednim rezultatem wściekłej kłótni, którą stoczyliśmy na pokładzie rufowym wśród kłębow dymu z dogasającego pożaru.

Nikt jednak nie zdążył powiedzieć ani słowa, bo kolejna awantura wybuchła już w chwilę później, gdy zapędziłem załogę do przygotowań do burzy. Okazało się wówczas, że bosman O’Neil po kryjomu sprzedał żabojadom zarówno najlepsze olinowanie, jak i większość płótna sztormowego. Wszelkie wysiłki skupiłem na próbach zabicia O’Neila, co do tej pory przejmuję mnie dreszczem, gdyż bosman zawsze służył z umiejętności łamania czołem ławy w karczmie. Bosmana oczywiście nie zabiłem, ale okręt stanął do walki z burzą rozpaczliwie nieprzygotowany i wyszedł z niej w opłakanym stanie, z porwanym takielunkiem, zerwaną fokstęgą, strzaskanym relingiem i zgruchotaną prawoburtową szalupą, że o drobniejszych uszkodzeniach nie wspomnę.

Potem już niczemu się nie dziwiłem. Ani temu, że podczas burzy rozbiła się moja osobista baryłka z malagą. Ani temu, że cieśla Sanchez, który ciężko odchorowywał wszelkie uszkodzenia „Magdaleny”, postanowił zabić Grommeta. Ani nawet temu, że dowódca piechoty morskiej, porucznik Edward Love, znów zgubił swego psa. Po prostu doszedłem do wniosku, że Neptun ma wobec mnie jakiś plan, chce mnie przetestować, a potem da mi spokój.

Gdybym choć w części przewidział, co dla mnie przygotował, na pewno nie popadłbym w odrętwienie, jak wówczas. Zapewne uległbym panice i po prostu skoczył do morza.

Kajuta kapitańska na mojej fregacie nie była miejscem ani szczególnie przestronnym, ani gustownie umeblowanym czy nawet przytulnym. Aż do tej pory jednakże zawsze udawało mi się w niej dobrze

wyspać. Niestety, pirotechniczno-kulinarne zapędy Grommeta odebrały mi i tę przyjemność – duszący smród spalinyzny nie opuszczał kajuty mimo otwarcia wszystkich okien rufowych, tak więc po zaledwie trzech godzinach niespokojnego ciskania się w koi wyszedłem na pokład, masując wściekle skronie.

– Dzień dobry, panie Miliard – warknąłem do ponurego nawigatora, który na mój widok przybrał minę towarzyszącą z reguły przeknięciu porcji ekskrementów jednej z naszych pokładowych papug.

– Tradycja nakazuje mi odpowiedzieć w ten sam sposób, ale nie chcę zostać uznany za hipokrytę – rzekł Miliard. – Proszę zatem wybaczyć, ale przejdę do kolejnych punktów naszej rozmowy. Otóż nie mam, kurwa, pojęcia.

– O czym nie masz pan pojęcia? – Zdębiałem.

– O, masz ci los! – Francuz udał zdumienie. – A byłem przekonany, że po tak paskudnym sztormie spyta pan o położenie okrętu. Cóż za rozczarowanie...

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu, którym mógłbym rozwalić Miliardowi czaszkę, lecz jak na złość na okręcie dobiegał już końca rytuał szorowania pokładu i usunięto z niego wszystko, czym można skrzywdzić jakiegokolwiek człowieka lub Francuza. Marynarze zbierali się mesami na śniadanie, z niewyraźnymi minami oczekując na kolejny wytwór wyobraźni kuka Butchera.

– Mapy, jak pan pamięta, szlag trafił – ciągnął zadowolony z siebie nawigator – a na ustalenie pozycji okrętu wedle gwiazd czy słońca trzeba będzie poczekać.

Spojrzałem na niebo, które zakrywały nisko wiszące, niemalże nieruchome szare obłoki. Słońce powinno właśnie wznosić się zza horyzontu, lecz na drobne, oleiste fale, cicho omywające burty okrętu, nie padał najmniejszy nawet blady blask – na wschodzie rozciągał się bowiem gęsty, nieprzenikniony tuman mgły. Zerknąłem na maszty, na połatany takielunek i martwo zwisające żagle, potem na ślamazarny kilwater i znów na Miliarda. Z wściekłością.

– Po pierwsze, Miliard – syknąłem cicho – spieprzaj pan z mojej burty. Po drugie, chcę usłyszeć raport. Pełny raport.

Francuz pobladł ze złości i przygryzł wargę, ale usunął się z burty nawietrznej rufy, tradycyjnie przynależnej dowódcy, i zasalutował, patrząc ponad moim ramieniem.

– Dzień dobry, sir! – huknął tak głośno, aż stojący przy kotłach marynarze odwrócili się ze zdumieniem. – Kurs okrętu północny wschód ku wschodowi, prędkość dwa węzły przy ostatnim rzuceniu logu. Wiatr wschodni malejący. Podczas ostatniej wachty załoga zakończyła łatanie porwanego takielunku, z założeniem zapasowej fokstengi czekaliśmy na powrót światła słonecznego. O falach też mam powiedzieć, że są niewielkie?

Najprawdopodobniej chciał jeszcze dorzucić jakąś kaśliwość, lecz nagle zawahał się, ponownie przygryzł wargę i pochylił nad tabliczką kursową. To zaś mogło oznaczać tylko jedno.

– Dzień dobry, Vincent – powiedziałem bez odwracania się.

– Dzień dobry.

Potęźnie zbudowany, wiecznie pochmurny pierwszy oficer fregaty był jednym z najbardziej nieprzejednanych, stanowczych i dzielnych ludzi, których kiedykolwiek poznałem. Posiadał również naturalny talent budzenia lęku u każdego człowieka, od majtka pokładowego po admirała. Czasami aż nie mogłem się nadziwić, jak ktoś taki jak Vincent Fowler mógł sobie wybrać na przyjaciela akurat mnie.

Obaj oparliśmy się o reling rufowy i zapatrzyliśmy we mgłę. Z innym oficerem zapewne porozmawiałbym o konieczności założenia nowej stengi, o słabym wietrze, o trudnej do ustalenia pozycji i bliskiej już mgłę, ale w przypadku Vincenta nie było to konieczne. Rozumieliśmy się dobrze i w niektórych sytuacjach słowa okazywały się po prostu zbędne.

– Powinieneś inaczej traktować Miliarda – odezwał się po dłuższej chwili.

– Wiem – wykrztusiłem, z całych sił powstrzymując się przed udzieleniem odpowiedzi przeczącej. – Ale to on zaczął!

– Mniejsza o to, Billy. Załoga nie może ciągle przysłuchiwać się pyskówkom z pokładu rufowego. To fatalnie działa na morale.

– To Miliard źle działa na morale!

– Nie zapominaj jednak, że jest świetnym nawigatorem. A nawet gdyby nim nie był, wciąż należy do twej załogi.

– Dobrze już, dobrze. – Westchnąłem. – Zresztą niebawem i tak będziemy mieli większe problemy.

Z tymi słowami wskazałem zamglony horyzont. Mleczny całun wyglądał, jakby pęczniał i nabrzmiewał, chcąc rychło pożreć maleńką „Magdalenę”.

Mgła ogarnęła fregatę około południa, tuż po tym, jak wiatr ucichł niemalże całkowicie. Przez kilka godzin nadzorowałem pracę nad naprawianiem wywołanych przez burzę uszkodzeń, osobiście sprawdzałem też każdą nową linę, każdy blok i żagiel – wyskok bosmana O'Neila wstrząsnął bowiem moją wiarą w kompetencję załogi. Zastosowałem również wszystkie możliwe sztuczki, by wykorzystać ostatnie tchnienia gasnącego wiatru, ale bez większego powodzenia. W miarę jak zbliżaliśmy się do mlecznej ściany mgły, wiatr gasł i cichł, aż wreszcie leciuteńkich podmuchów ledwie wystarczało, by okręt zachował względną sterowność.

– Jak tak dalej pójdzie, to zostanie nam holowanie na szalupach – oznajmiłem w pewnym momencie. – To znaczy, na tych dwóch, które się jeszcze do czegośkolwiek nadają.

– Zawsze jeszcze można spróbować przywołać wiatr gwizdaniem – rzucił Vincent. – Albo poprosić jakąś pokładową dziewicę, by podrapała piętę grotmasztu. To ponoć niezawodny środek.

Wiedziałem, że próbuje żartem rozładować napięcie, zmusiłem się więc do krzywego grymasu.

– Dziewice na okrętach wojennych to wymarły gatunek – powiedziałem, siląc się na wesoły ton. – Podobnie jak jednorożce, smoki, krakeny i...

– Wąż morski! – krzyknął piskliwie ktoś na dziobie.

Pokład fregaty zatętnił pod krokami biegnących. Kto żyw rzucał robotę i gnał na dziób, gdzie momentalnie wybuchły sprzeczki o lunetę, nawet cieśla Sanchez przestał warować pod masztem, na którym schronił się przerażony Grommet, i pocwałował w ślad za resztą. Podekscytowani marynarze wychylali się za reling i okrzykami pomagali sobie znaleźć miejsce, gdzie zanurzył się legendarny morski potwór. Ponad wrzawą unosił się piskliwy głos marynarza, który jako pierwszy dostrzegł potwora.

– Mały łeb miał! Mały łeb, kiej dwie pięści albo jedna pana bosmana, szacuneczek, panie bosman! Mały łeb miał, ale długi był, ho ho...

– Wąż morski – prychnąłem teatralnie.

Pokusa była zbyt silna i oczywiście uniosłem lunetę do oka, lecz bacznie uważałem, by przez cały czas zachować sceptyczny wyraz twarzy. Przeczesalem powierzchnię morza skrupulatnie, lecz wśród pęczniących strzępów mgły, unoszących się tuż nad nieruchomymi falami, nie dostrzegłem niczego podejrzanego.

– Ktoś powinien uświadomić Tomowi Platterowi, że za dużo pije – powiedziałem, próbując zamaskować rozczarowanie.

– Tak, jasne – powiedział pierwszy oficer i złożył szybko lunetę z czymś na kształt zażenowania.

Tak naprawdę zacząłem się martwić dopiero dwie godziny później, kiedy mgła zakryła nawet największą szalupę „Magdaleny”, holującą okręt ledwie o kilka kabli od bukszprytu. Podbiegłem na dziób i z niedowierzaniem wpatrywałem się w końce długich lin, niknące wśród mlecznobiałych tumanów, i nasłuchiwałem pokrzykiwań wioślarzy, nagle głuchych i przytłumionych. Równie osobliwie, niemalże irytująco brzmiał głos marynarza z sondą na ławie wantowej. Potworna mgła jakby wysysała wszelką radość i entuzjazm z ludzkich serc, a jej kłęby falowały niczym fałdy tłuszczu morskiego lewiatana. Czulem się nieswojo, bardzo nieswojo.

– Wypytałem Plattera – burknął cicho Fowler. Był jedynym człowiekiem, któremu nie udzielił się ponury nastrój, głównie dlatego, że Vincent bywał ponury zawsze, nawet po pijanemu. – Mam dziwne wrażenie, że nie kłamie.

– Vincent, z prowadzonych przez ciebie ksiąg werbunkowych wyczytałem, że Tom Platter ma wyrok za uprawianie szarlatanerii i bigamię – syknąłem, zahipnotyzowany widokiem znikającej liny. – A po skreśleniach przy jego nazwisku wnioskuje, że okłamał cię także co do swego wieku, profesji i pochodzenia. Tymczasem uwierzyłeś, że zobaczył węża morskiego, tak? Vince, nawet najstarsi, najbardziej doświadczeni marynarze biorą grzbiety wielorybów, płynące w szeregu foki, czy nawet ptaki morskie, za lewiatany! Pamiętasz, jak...

– W istocie – rzekł sucho pierwszy oficer. – Dziękuję za naukę. Niewątpliwie przyda mi się jeszcze niejednokrotnie podczas służby pod twoim dowództwem.

– Wiem, o co ci chodzi – zmitygowałem się. – Być może Platter nie kłamie, być może naprawdę wierzy w to, że coś tam widział, ale...

– Dzień dobry, kapitanie. Dzień dobry, poruczniku Fowler.

Chłodny głos porucznika Edwarda Love'a, dowódcy pokładowego oddziału piechoty morskiej i wzoru dla każdego dżentelmena od Edynburga po Kapsztad, uciął rodzącą się sprzeczkę. Żołnierz jak zwykle miał na sobie idealnie odprasowany mundur, a do boku przytroczył ulubioną szpadę. Z absolutną obojętnością

zmierzył kłębiące się tumany nieprzeniknionej mgły i najwyraźniej uznał ją za niegodnego siebie przeciwnika, gdyż skrzywił się, zdjął kapelusz, ujął go pod pachę i powiedział:

– Szukałem was tam z tyłu, ale na próżno. Ciekawe, że od czasu do czasu potraficie zapomnieć o tych waszych trywialnych okrętowych przyzwyczajeniach.

– Z tyłu? – Zamrugalem. – Pewnie masz na myśli rufę? Och, tak, zadania dowódcy i pierwszego oficera wymagają wiele elastyczności. Bywa, że się przemieszczamy. Jak twój pies, Edwardzie?

– Winston odnalazł się w komorze lin kotwicznych i, o dziwo – Love zmarszczył lekko brwi, jakby borykał się z trudnym do przyjęcia faktem – nie okazał na mój widok należytej radości. Rzekłbym nawet, iż wyciągnięcie go z tej cuchnącej nory kosztowało mnie sporo zachodu. A tak na marginesie, Billy, mógłbyś w wolnej chwili wysłać kilku ludzi, by wysprzątało to miejsce? Doprawdy, przytłaczająca nora. Czy ktoś tam w ogóle kiedykolwiek zagląda?

– Zajmę się tym, Edwardzie – powiedziałem z głęboką powagą. Najgłębszą, na jaką było mnie stać.

– Doskonale. Wstyd, żeby na takim ładnym statku śmierdziało jak... Jak... – Dokończenie owej figury retorycznej okazało się dla Edwarda poważnym wyzwaniem, ponieważ jako dżentelmen nie miał prawa i możliwości pamiętać żadnych miejsc kojarzących się ze smrodem. – Reasumując, przez najbliższe kilka dni mogę być nieco zajęty, gdyż nieszczęsny Winston jest roztrzęsiony i zupełnie stracił apetyt. Wyobraźcie sobie, że bezustannie powarkuje i kuli się w kącie! Liczę jednakowoż na to, że moja opieka oraz pudełko z najlepszymi bristolskimi biszkoptami wnet postawią go na nogi. A tak przy okazji, Billy, czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego od jakiegoś czasu marynarze zachęcają mnie, bym zszedł gdzieś tam i poklepał jakąś piętę masztu?

– Cisza! – syknął niespodziewanie Vincent.

Zaskoczony, dopiero po chwili zrozumiałem, że jego słowa skierowane były do marynarza z sondą, jedynej głośnej osoby na pokładzie fregaty. Na okręcie natychmiast zapadła całkowita cisza.

Zerknąłem na twarz Fowlera, a po plecach spłynął mi rój mrówek. Pierwszy oficer wpatrywał się w linię łączącą okręt z szalupą. Jeszcze przed momentem napięta niczym struna, opadała coraz bardziej, aż w końcu zanurzyła się w wodzie. Przerażony, uświadomiłem sobie, że od paru chwil nie słyszałem pokrzykiwań wioślarzy.

Czarny kontur szalupy wraz ze znieruchomiałymi sylwetkami marynarzy wyłonił się kilka uderzeń serca później, ale nawet na niego nie spojrzałem. Niespodziewanie mgła, jakby sterowana ręką demonicznego dyrygenta, uniosła się niczym kurtyna i ukazała nam wszystkim przerażająco bliską, wysoką burtę potężnej fregaty, holowanej ku zachodowi przez własne szalupy. Zwisający z rufy, zapomniany przez wiatr Union Jack nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej tożsamości.

– To HMS „Niobe” – szepnął Vince. – Chyba nas nie zauważyli...

– Szlag by to trafił... – Zacisnąłem mocno powieki. – Cisza na okręcie.

Załoga „Magdaleny” składała się z dwóch setek szajbusów, przestępców i ofiar losu, z których niemal każdy był na bakier z prawem i żaden, absolutnie żaden nie miał powodu, by darzyć Royal Navy jakimikolwiek cieplejszymi uczuciami. Marynarze więc bardzo skrupulatnie przestrzegali rozkazu zachowania ciszy na okręcie, nawet cieśla Sanchez chwilowo zaprzestał wywarkiwanie gróźb pod adresem Johna Grommeta. HMS „Niobe” wkrótce znikła we mgle, odprowadzona dwustoma bezgłośnymi westchnieniami ulgi, a ja zmusiłem się do kilku tryumfalnych uśmiechów, klepnąłem Vincenta w plecy i zszedłem do swej śmierdzącej spalenizną kajuty, która naraz wydała mi się przedśionkiem raj.

Mimo że w każdej bazie brytyjskiej groził mi wyrok za dezercję z HMS „Merkury”, zawsze czułem się upokorzony, kiedy musiałem salwować się ucieczką przed okrętem Royal Navy. Tym razem jednak poczułem się znacznie gorzej. Wcześniejsze wydarzenia – pożar w kajucie, kłótnia z Miliardem, uwięzienie we mgle, a nade wszystko przeklęty francuski patent kaperski – zamieniły mój żal w wyjąca depresję, która z kolei skierowała mnie na poszukiwanie czegoś mocniejszego do picia.

Znaleziona butelka rumu najpierw uwolniła lawinę przekleństw i złorzeczeń, następnie namówiła mnie do wylania kilku łąz nad marność życia, by w końcu znieczulić na trudy egzystencji na tym padole. Wsłuchując się w ciszę na pokładzie, wysysałem ostatnie krople jamajskiego trunku, wreszcie obojętny na kwestie kursu, prędkości bądź misji, zleconej nam przez odurzonego opium kawalera de Truesse. Zignorowałem nawet to, że fregata dostała się w zasięg jakiegoś prądu i z wolna ruszyła w nieznanym mi kierunku. Zaalarmował mnie dopiero meldunek marynarza wysłanego przez Vincenta.

– Wyspa na horyzoncie, sir!

Gdy wypełznąłem na pokład rufowy i wycelowałem lunetę, tajemniczy dyrygent znów rozsunał kurtynę

mgły. Naszym oczom ukazał się najpierw ostro ścięty czubek wulkanu, następnie zielone kobierce lasów porastających jego łagodne zbocza i na samym końcu poszarpane skały, broniące falom przystępu do urwistych brzegów. Milczeliśmy, bo prawdziwe cuda natury – a na takowe właśnie patrzyliśmy – odbierają mowę nawet najbardziej zatwardziałym morskim wilkom. Pchana dryfem fregata wolno sunęła ku brzegom zapomnianej przez Boga krainy; tumany mgły rozwiewały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odsłaniając kolejne partie groźnego, najeżonego skałami wybrzeża.

– Zastanawiam się, Billy... – zaczął stojący obok Vincent.

– Później będziemy się zastanawiać, Vince – przerwałem mu, a wypity rum pomógł mi zmusić mięśnie twarzy do uśmiechu. – Najpierw wprowadź okręt do tej niewielkiej zatoczki. Potrzebujemy dogodnego miejsca na wstawienie fokstengi.

Prąd delikatnie popychał fregatę ku trzem czarnym, wyrastającym z morza i oblepionym rojami ptactwa skałom, za którymi kryło się wejście do małej zatoki. Okalały ją wysokie, soczyście zielone wzgórza, urywające się niemalże pionowo tuż nad nieruchomą taflą wody. W oku lunety widziałem ich stalowoszare, masywne cielska, ale wydawało mi się również, że dostrzegam u ich stóp wąską, kamienistą plażę i wiodącą w górę ścieżkę.

– Skąd wiesz, czy to bezpieczne?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. Rum znów okazywał się nieocenionym pomocnikiem w obmyśleniu nonszalanckich odpowiedzi. – Wokół nie widać żadnych statków, budynków, masztów flagowych ani nawet dymów. Jeśli więc to czyjeś terytorium, nikt nawet nie zauważy naszej bytności. A jeśli jest niczyje, to cóż...

Przy tych słowach uśmiechnąłem się szelmowsko i przez dłuższy czas lustrowałem wybrzeże w nadziei, że uda mi się pobudzić ciekawość Vincenta. Jak zwykle, spotkało mnie rozczarowanie – pierwszy oficer „Magdaleny” był człowiekiem pozbawionym wszelkich uczuć z wyjątkiem gniewu, wściekłości i furii.

– Jeśli ta wyspa nie należy do nikogo, Vincent, to z chęcią poszukam tu jakiejś kryjówki dla nas – zakończyłem. – Bo nie wiem jak tobie, ale mnie brzydnie już nadszkanie żabojadom. Pora rozpocząć działanie na własny rachunek.

Wspinając się zboczem wzgórze, gratulowałem sobie w duchu pomysłu, który wpadł mi do głowy podczas rozmowy z Vincentem, a do tego zabrzmiał tak realistycznie, że przekonał nie tylko jego, ale również mnie. Dlatego też nie miałem żadnych skrupułów, by rzucić na Vince’a zadanie wstawienia nowej fokstengi i rozesłania grup zwiadowców po wyspie. Sam zaś porwałem pełną do połowy flaszkę rumu i rozpocząłem wspinaczkę dostrzeżoną z pokładu ścieżką.

Pełna do połowy, pomyślałem, zasapany. Znów obudził się we mnie optymista.

Co było dość dziwnym odkryciem, zważywszy na to, że prawdziwym powodem rzucenia kotwicy przy nieznanym mi wyspie była przemożna ochota, by ukraść chwilę samotności, побыć jak najdalej od okrętu i jego załogi.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że rozczulam się nad sobą i popadam w kapryśne nastroje, ale liczba problemów, jakie pociągała za sobą dowodzenie korsarską fregatą, czasem zwyczajnie mnie przerastała. No dobrze, nie czasem. Często mnie przerastała. Już wystarczająco ciążyło mi to, że okoliczności losu zmusiły mnie do dezercji z Royal Navy, w której tradycji zostałem wychowany, i przejścia na służbę do Francuzów, czyli ulubionych wrogów kapitanów okrętów Jego Królewskiej Mości. Moje przygnębienie potęgowały dodatkowo problemy, które niosło ze sobą dowodzenie zgrają oczajdusz, huncwotów i biesich synów oraz monotonia samej służby. W takich chwilach wystarczał drobny incydent, choćby zaciekle kłótnia czy konieczność uciekania przed angielskimi okrętami, a moja depresja sięgała zenitu. Od momentu opuszczenia Port-Au-Prince takich incydentów było aż za wiele.

No, a teraz wreszcie miałem trochę czasu dla siebie. Przemierzyłem wzgórze i strudzony ułożyłem się na jego przeciwnym zboczu. Miałem stamtąd wspaniałą widok na morze, nadal spowite nieprzebranym całunem śnieżnobiałej mgły, oraz na przesłonięte lekką mgiełką lasy u stóp wulkanu. Przez chmury przebijało już słońce, przypominające wielką białą kulę, a w powietrzu zawisła dusząca wilgoć, ale nawet to mi nie przeszkadzało. Leżałem sobie wygodnie na trawie, popijałem rum z przezornie zabranej szklaniczki i przyglądałem się sylwetkom ogromnych ptaków, kołujących wokół czubka wulkanu.

– Wyglądają mi na albatrosy – powiedziałem głośno sam do siebie. – Ale te fruują tylko na morzach południowych... Nieźle jaja... Czyżby wywiało nas aż tak daleko?

Skojarzenie wywołało u mnie niepowstrzymany atak wesołości, uwieńczony tryumfalną czkawką.

Ciekawe, czy Miliard zdążył coś wykombinować, pomyślałem, rozglądając się za szklanicą z rumem.

Powinien był już obliczyć naszą pozycję, ślimakojad cholerny. Słońce przecież widać od dawna. Ech, sam bym ją wyliczył, ale mi się nie chce i nic na to nie poradzę.

– Niech szlag trafi Francuzów! – ryknąłem chrapliwie.

Znów sięgnąłem po szklanicę, którą mój rozkołysany wzrok namierzył na płaskim gładzie nieopodał. Nagle znieruchomiałem – powierzchnia rumu drgała leciutko w regularnych odstępach czasu, zupełnie jakby pod wpływem odległych salw armatnich.

Zaniepokojony, poderwałem się z pewnym trudem i wtelepałem na szczyt wzgórza, z każdym krokiem wypacając wypity trunek. Z góry spojrzałem ku fregacie i odetchnąłem z ulgą. Wokół kadłuba nie było żadnych kłębow dymu armatniego, a uwaga wszystkich skupiła się na skomplikowanej operacji wstawienia fokstengi. Spod pokładu dobiegło wycie Winstona, co stanowiło swoisty ewenement, zważywszy na to, że pies temperamentem dorównywał rozdeptanym meduzom. Zlustrowałem również powierzchnię morza, ale jeśli gdzieś w pobliżu wyspy toczyła się jakaś wymiana ognia, mgła zazdrośnie ukryła swój sekret.

– Pa... Paaanie ka... kaaapitaanie!

Odwrociłem się na pięcie. W moją stronę pędził Bambo, ogromnej postury czarnoskóry marynarz, którego Matka Natura wyposażyła w niezwykle potężne mięśnie i odwrotnie do nich proporcjonalny wielkością mózdzek.

– Och, Bambo! – sapnąłem uspokojony. – Ależ ty tupiesz, chłopie... Doprawdy, myślałem, że...

Dopiero w ostatniej chwili dostrzegłem popielatą barwę twarzy Murzyna i wytrzeszczone z przerażenia oczy. Bambo wyhamował tuż przede mną, pochwycił mnie w swe ogromne łapska i potrząsnął niczym wytrzeptywaną serwetką.

– Złeee! – wył, wywracając gałkami ocznymi. – Złe mziimu!

O kurwa, jakie złeee!

– Spo... spo... spokój... nie, ma... ma... marynarzu!

Próbowałem ofuknąć roztrzęsionego Bambo, ale częstotliwość wstrząsów i podrzutów uniemożliwiły mi płynne wyartykułowanie choćby jednego słowa. Niespodziewanie Bambo, najwidoczniej nie mogąc doszukać się u mnie pociechy, cisnął mną na trawę i rzucił się do dalszej ucieczki.

Złe mziimu, pomyślałem oszołomiony, wpatrując się w migające pięty pędzącego przed siebie Murzyna. To już drugi raz w tym miesiącu.

Nikt w całej załodze nie miał bladego pojęcia, czym było owo mziimu, ale dla Bambo najprawdopodobniej uosabiało całe zło tego świata i tamtego zapewne również. Raz na kilka tygodni, z nikomu nieznanymi przyczynami, czarnoskóry marynarz popadał w stan maniakalnego obłądzenia i wrzeszcząc: „Złe mziimu!”, piął się na top grota, gdzie spędzał cały następny dzień, dygocząc ze strachu i wyjąc jakieś kłątwy. Załoga już dawno przywykła do owych ataków szaleństwa, a jedyną reakcją na znajomy wrzask było usunięcie mu z drogi co poważniejszych przeszkód na danym terenie. Lekarz okrętowy doktor Pollock sugerował co prawda, że źródłem psychozy Bambo była postać straszliwego kuka pokładowego, truciciela tłumów Samuela Butchera, ale nawet on nie zebrał się na odwagę, by poczynić niezbędne naukowe obserwacje.

Naraz – deus ex machina! – z krzaków wyskoczył sam Butcher.

– Świeże mięso! – zaryczał i wymachując tasakiem, pocwałował ku mnie.

A więc to prawda, westchnąłem w duchu, podnosząc się szybko i otrzepując mundur z trawy. Ten cholerny kuk w istocie napędza stracha nieszczęsnemu Bambo...

– Panie Butcher! – huknąłem, marszcząc brwi niczym Zeus Gromowładny. – Doprawdy, nie czas to na krotochwilę! Znajdujemy się na nieznannej ziemi i nie przystoi...

Nawet najbardziej naiwni marynarze na „Magdalenie” nie zbliżali się do Butchera na mniej niż dwa metry, lub pięć, gdy ten dzierżył swój tasak. Ja sam do naiwniaków nie należałem i nie wierzyłem, by autorytet kapitana mógł mnie obronić przed furią króla pokładowych szajbusów. Widząc, w jakim tempie Butcher przebiera swoimi krzywymi, kozimi nóżkami, postanowiłem powtórzyć tyradę raz jeszcze, a potem wykonać szybki uskoc w losowo wybranym kierunku.

– Panie Butcher, jeszcze raz pana ostrzegam! – krzyknąłem ostro, lecz naraz dotarło do mnie, że nigdy dotąd nie widziałem kuka w biegu. – Panie Butcher? – bąknąłem niepewnie. – Zechce pan...

– Świeże mięsoooo! – Zbliżający się chyżo Butcher zawył tak przejmująco, że na moment ujrzałem nawet jego drgający język w czarnej przepaści gardzieli.

Ziemia dygotała raz za razem, coraz prędzej. W oddali zawtórowało mu echo wystrzału z działa, a po nim kolejne. Czyżby „Niobe”?

– Co się, do kurwy nędzy, dzieje? – zdołałem tylko wyszeptać. A potem prawie zemdlałem.

Nieoczekiwanie wstrząsy ustały, a ze ściany drzew wysunął się wielki, olbrzymi gadzi łeb. Stwór rozejrzał się z zaciekawieniem po okolicy. Paszcza monstrum, przepastna niczym luk na liniowcu,

rozchyliła się na moment, a z ogromnych, ostrych kłów pociekła ślina. Przysiągłbym, iż nastąpiło to w chwili, gdy spoczął na mnie wzrok malutkiego, czerwonego ślepią potwora.

– Boże w niebiesiach... – zakwiliłem. – Panie Butcher, nie zostawiaj mnie pan tutaj!

Nigdy, absolutnie nigdy w życiu nie biegłem w takim tempie. Pędziłem na osłep przed siebie, a łoskot walących się drzew i rytmiczne, coraz głośniejsze wstrząsy ziemi świadczyły, że stalowo-szare smoczysko uległo ciekawości świata i postanowiło obejrzeć mnie z bliska. W mig prześcignąłem wrzeszczącego przeraźliwie Butchera i kierowany pierwotnym instynktem samozachowawczym rzuciłem się ku ścieżce prowadzącej na plażę. Gorączkowo modliłem się w duchu, by uciekający ze stałego lądu marynarze – a sądziłem, że Fowler mógł wysłać na zwiady dobre parę tuzinów – nie zapomnieli przypadkiem o swoim ukochanym kapitanie.

Gdybyś ostatnio tyle nie marudził, Billy, szepnął mi jakiś złośliwy głos w głębi duszy. Gdybyś tak nie dopieklł wszystkim swoimi przekłętymi humorami, poczekaliby na pewno...

– Pomocy! – darłem się. – Złe mżimu!

– Tutaj, kapitanie! – wrzasnął ktoś.

Kątem oka dojrzałem ogromną, rozszerzoną na końcu lufę bukanierskiej rusznicy, wysuwającą się z załomu skał. Niespodziewanie rozległ się straszliwy huk, skały spowił siny dym, a mnie nad uchem zaświstał rój kartaczy. Padłem na kolana i nie bacząc na godność dowódcy okrętu, pocwałowałem na czworakach ku skrytym wśród nieprzejrzystych kłębow skałom. Oślepiiony, wybrałem zły kierunek, ale twarde, żylaste łapska marynarzy „Magdaleny” natychmiast wciągnęły mnie w bezpieczne schronienie.

– Dziękuję, chłopaki... – sapnąłem, z trudem łapiąc oddech. – Co wy... Co wy tu właściwie robicie?

– Nic takiego, sir! – bąknął da Silva, do spółki z Mullhollandem nabijający rusznicę. – Porucznik Fowler wysłał nas na zwia... zwiady. Sporośmy już zwiedzili, tedy se o... odpoczywamy.

– Od czasu do czasu pierdyknijemy w coś tam z grubej rury, sam pan rozumie – dodał filozoficznie Danny Baryła.

Próbował zasłonić własnymi plecami autentyczną baryłkę, ani chybi podprowadzoną z magazynku tuż pod okiem porucznika Fowlera. Dziki błysk w oczach całej trójki i niepewne ruchy podsypującego proch Mullhollanda utwierdziły mnie w przekonaniu, że bynajmniej to nie była woda.

Niewiarygodne, pomyślałem, próbując się uspokoić. Mam w załodze samobójców... Wynieśli beczkę w przytomności Vincenta.

Następne chwile udowodniły mi jednak, że definicji pojęcia „samobójca” również nie znałem.

– Dobra, chłopaki! – Dźwignąłem się na nogi. – Czas stąd spieprzać, póki...

– Gotowe! – Rozochocony Mullholland czknął. – No, da Silva. Dawaj tę rurę. Tym razem spróbujemy przycelować...

– Słuchajcie, wy durne osły, synowie holenderskich cichodajek! – warknąłem ze strachem. – Czyście się z własnymi kutasami na mózgi pozamieniali? Ja tam nie wiem, czym jest to wielkie bydlę, ale starczy mi to, że jest jakieś dziesięć razy większe od wszystkich nas razem wziętych, a na dodatek na pewno gustuje w mięsie!

– Po mojemu to smok – wytłumaczył mi Baryła. – Wie pan, kapitanie, zupełnie jak ten od świętego Jerzego, co go...

– Zamknij mordę! – ofuknął go da Silva, zataczając szerokie łuki lufą rusznicy. – Bo się s... skoncentrować nie mogę!

Nagły podmuch wiatru uniósł ostatnie strzępy dymu prochowego i wszyscy czterej ujrzeliśmy smoka wyraźnie. Poruszał się na masywnych, tylnych nogach, czasami wspierając się na gigantycznym ogonie, a gdy uniósł wysoko łeb i wyprostował sylwetkę, był wyższy od masztów fregaty. Każde jego stąpienie wprawiało ziemię w drgania, ale mimo to w ruchach bestii była dostrzegalna pewna gracja. Z narastającym przerażeniem uświadomiłem sobie, że bez wątpienia jest zdolna do błyskawicznego, a zarazem miażdżącego ataku. Poza tym pociski da Silvy najwyraźniej nie wyrządziły jej żadnej szkody. Na stalowoszarej skórze nie było widać nawet najmniejszej ranki.

– Chybiłeś, cyckożuju. – Mullholland doszedł do tego samego wniosku i pokręcił z potępieniem głową. – Oddaj mi to ustrojstwo... Teraz ja wypierd...

– Cicho! – syknął z zachwytem Baryła. – Patrzenie, co ten kulfon chędożony wyczynia...

Smok nagle opuścił łeb tuż nad ziemię i ze świstem wciągnął powietrze przez ogromne nozdrza. Byłem już bliski paniki, ale mimo to dostrzegłem, że obwąchuje rozciągnięte pośród traw, nieruchome ciało Butchera.

– Doktor Pollock gada, że w jego rodzinnych stronach to wszystkie smoki tak powybijali – oznajmił Baryła.

– Czyli niby jak? – zaciekawiał się da Silva.

– No, przynosili im jakieś wypchane siarką bydlaki i czekali, aż smoki to zeżrą. A te żarły co popadło, a potem zdychały. Jak ten tu konus zeżre naszego kuka, to go chyba na kawałki rozsadzi. Siarki ci w nim dostatek, no nie?

Okazało się, że nasz pokładowy smokolog był w grubym błędzie. Smok naraz cofnął się gwałtownie, a na gadzim pysku pojawił się niemalże ludzki wyraz obrzydzenia. Przez całe, przeogromne cielsko przeszedł dreszcz, który uwieńczyło potężne walnięcie ogonem w ziemię, aż zadygotał grunt. Poczułem, jak na powrót budzi się we mnie lęk, ale tym razem wzbogacony o nowy, niepokojący aspekt, przypominający złe, bardzo złe przeczucie, które na morzu kazałoby natychmiast przypaść do koła sterowego, a podczas uczy wylać zawartość kieliszka jeszcze przed zamoczeniem ust. Po plecach spłynął mi lodowaty dreszcz i na moment całkowicie zapomniałem o wstrząsanym torsjami smoku.

– Widzisz, Butcher, jakżeś marnie skończył? – Mullholland westchnął. – Nawet smok nie chce cię zeżreć, bo się sraczkę boi.

– Trzeba by mu w takim razie dziewicę jakąś podrzucić – stwierdził rozczarowany Baryła.

– Od tego też wybuchnie?

– Nie. Ale się zafrapuje, bawić zacznie, a my...

Nigdy nie zdołałem poznać planu Danny'ego Baryły, gdyż moje mroczne przeczucia się skryzalizowały. Niespodziewanie zerknąłem bowiem ku niebu i ujrzałem, jak owe drobne punkciki, które swego czasu wzięłem za zabłąkane albatrosy, rosną w oczach w przerażającym tempie. Z każdym uderzeniem serca dostrzegałem kolejne szczegóły – wystające z błoniastych skrzydeł ostre pazury, długie, rozchylone drapieźnie dzioby, podkurczone, gotowe do uderzenia szpony – już po chwili nie miałem wątpliwości, że kierują się prosto na nas.

– Da Silva! – ryknąłem rozdzierająco. – Nad nami! Nad nami, ty nieszczęsny pierdowachu!

Zanim zaskoczony bukanier pojął skalę zagrożenia, spojrział w górę i poderwał lufę rusznicy, minęło kilka drogocennych sekund. Rzekome albatrosy pikowały już ku nam ze świstem i z szeroko rozwartymi, zębatymi dziobami. Poblady da Silva wypalił z możliwie najbliższej odległości.

Śmiercionośna chmara kartaczy poszatkowała najgłodniejszego z latających potworów i pocięła skrzydła kilku najbliższym. Pozostałe z rozdzierającym bębniem w uszach wrzaskiem czmychnęły na boki. Wśród wirujących kłębow dymu widziałem, jak zdezorientowane kołują po niebie, atakując wściekle swych rannych pobratymców.

– Teraz! – wrzasnąłem. – Teraz mamy szansę!

I nagle poczuliśmy, jak ziemia zaczyna drgać coraz mocniej, w bardzo krótkich odstępach czasu. Jasne. Trudno przecież, by potworny huk wystrzału z bukanierskiej rusznicy nie rozbudził smoczej ciekawości na nowo.

Moment później gnaliśmy już jak opętani wśród wzgórz – Danny i da Silva obciążeni wielką rusznicą, Mullholland baryłką, której nie chciał zostawić, a ja wagą mojego zadania. Musiałem uratować siebie i trójkę podległych mi popaprańców, a tymczasem kraina, do której przywiódł nas złośliwy los, zaczęła odsłaniać swój majestat w całej krasie i prezentować kolejne koszmary. Za nami rażno sadylił susami smok, poprzedzany przez niewielkie trzęsienie ziemi, a ku niebu znów pomknęły rozdrażnione, zębate albatrosy. Gdzieś od strony lasu dobiegały kolejne ryki i trzaski pękających drzew, „Magdalena” nie przestawała strzelać, a my naraz znaleźliśmy się nad brzegiem zamulonego bajora, w którym taplało się garbate bydlę o rozmiarach przydrożnej gospody, z niezmiernie długą szyją i niewielkim łbem. Zaalarmowane, poruszyło się gwałtownie, aż po wodzie przeszła niewysoka gęsta fala. Kątem oka dostrzegłem, że z pyska zwisają mu pęki wilgotnych wodorostów, ale ulga trwała tylko krótką chwilę.

– Gdzie my jesteśmy? – rozejrzałem się w panice. – Przecież to nie droga do brzegu! To nie jest ścieżka na plażę, do ciężkiej cholery!

– Tam! – Zdyszany Baryła wskazał łąkę wysokich traw, ciągnących się aż po linię lasów u stóp wulkanu.

– Ścieżka idzie tamtędy, sir, ale zrobimy sobie skrót przez trawy i...

– Uwaga! – ryknął Mullholland.

Zdażyłem jedynie paść na ziemię. Ułamek sekundy później owionął mnie pęd powietrza, a gdy uniosłem głowę, ujrzałem jedną z owych latających bestii, która zataczała właśnie łuk nad morzem traw. W szponach ścisnęła mój kapeluszyk kapitański.

– Ty skur... – Chciałem się podnieść, lecz w tym samym momencie przywalił mnie Baryła.

– Z całym szacunkiem, sir! – stęknął. – Ale...

Odpowiedź uzupełniły wystrzały z pistoletów Mullhollanda i da Silvy, którzy poszatkowali kolejnego z latających napastników. Nadal przygnieciony przez sternika, obróciłem głowę i ujrzałem, jak pozostałe ptaszyska zawracają, wystraszone hukami. Jedno z nich znalazło się zbyt blisko nadbiegającego smoka – potwór odwrócił się błyskawicznie i kłapał straszliwymi szczękami. Po ptaszysku został jedynie strzęp

błony, wystający spod wargi smoka.

– Złaż, Baryła! – jęknąłem. – W nogi!

Nie wiedziałem, czy zdążymy odnaleźć ścieżkę, o której mówił Danny, ale liczyłem, że zdołamy schować się wśród traw, gdyby smok okazał się za szybki. Zadanie nie było łatwe, goniliśmy już bowiem resztą sił, a ostatni odcinek prowadził ostro pod górę wśród skał i kamieni. Parłem jednak niezłomnie naprzód, przepełniony nową nadzieją, a za mną pięli się sapiący i przeklinający marynarze. Od skraju łąki dzieliło nas ledwie kilkanaście kroków, gdy nagle dobiegł mnie przeraźliwy jęk Mullhollanda. Ogarnięty lękiem, odwróciłem się na pięcie.

– Co się dzieje?! – krzyknąłem.

– Baryła! – ryknął rozdzierająco marynarz.

– Co z nim?

– Nie z nim, ale z nią! Bieda! Gore!

Beczka z rumem toczyła się w dół, podskakując na kamieniach, aż znieruchomiła u stóp smoka, który się pochylił i skrupulatnie ją obwąchał.

– Oddawaj, ty gadzino! – wył zrozpaczony marynarz. – Oddawaj, bo... Bo porucznik Fowler dowie się o wszystkim!

Potwór popatrzył na niego i przekrzywił lekko łeb, a pazurzasta łapa zacisnęła się na głazie, na którym natychmiast pojawiły się pęknięcia. Latające stwory jeden po drugim nabierały wysokości i szykowały się do ataku.

– Mullholland, ty durniu! Natychmiast się pozbieraj! – darłem się. – Natychmiast! Trawy! Musimy schować się wśród traw!

Marynarz zerkał to na utraconą beczkę, to na bliskie już trawy, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, czy bardziej ceni sobie bezpieczeństwo, czy zamroczenie. Jego dylemat rozwiązał sam smok, który nagle rozwarł paszczę, ujął beczkę zębami i wrzucił ją sobie prosto w gardziel. Następnie splunął drzazgami i spojrzał na mnie. I chyba się uśmiechnął.

– Szuka zagrychy – wyszeptąłem. – Trawy... Tam będziemy bezpieczni!

Z uporem maniaka odwróciłem się ku łące, wabiącej zielenią i spokojem, zdecydowany od tej pory nie przejmować się niewdzięcznikami i dbać tylko o siebie. Ledwie zrobiłem pierwszy krok, gdy w bębni uszne wbił mi się przeraźliwy wrzask latających bestii, tak silny, że aż się zatoczyłem.

Trzeba było dłużej zwlekać, dodał ten sam zgryźliwy głos w głębi mojej duszy. Trzeba było jeszcze uśiąść z Mullhollandem i przytulić biedaka do serca...

Naraz wydało mi się, że usłyszałem jakieś głosy, a potem powietrzem targnęły kolejne wystrzały, bardzo bliskie. Wrzask ptaszydeł przerodził się w pisk bólu i strachu.

– Szacuneczek, kapitanie! – huknął bosman O'Neil i przerzucił dymiącą jeszcze króciwą do lewej dłoni, by pomóc mi wstać. – Porucznik Fowler przesyła pozdrowienia oraz wyrazy tęsknoty. Kazał nam tu przyjść, żeby... O kurwa...

Douglas O'Neil. Niezniszczalny, niepowstrzymany i całkowicie nierdzewny bosman, dezertor z Royal Navy, który za cel swego życia obrał nawalenie po gębie przynajmniej jednego marynarza z KAŻDEGO okrętu Jego Królewskiej Mości. Moja złość na niego wyparowała w jednej chwili – rozpostarłem szeroko ramiona, chcąc go wyciskać i ucałować, ale wtedy zrozumiałem nowy błysk w jego oku.

– To ci pokażny skurwiel... – Bosman stęknął z zachwytem, wpatrując się w stalowoszarą bestię. – No co, chudzielcu! – ryknął. – Chcesz się popробować z prawdziwym twardzielem, ty wymoczku z krzywymi kłami? Wskoczmy na gołe klaty, co?

– Na litość boską, O'Neil – jęknąłem. – Musimy się schować... Schować w trawie!

– Co? – Rozpinający koszulę bosman spojrzał na mnie półprzytomnie. – Chcesz pan, to się chowaj. Może nawet dobrze pan na tym wyjdiesz, bo tu zaraz polecą flaki!

Miałem wrażenie, że znajduję się w jakimś nierealnym śnie. Półnagi bosman szedł w kierunku znieruchomiłego smoka, prężąc wytatuowane ramiona i łącząc go straszliwymi słowami, a reszta marynarzy wraz z Mullhollandem, da Silva i Baryłą dopingowali go coraz głośniejszymi głosami. Mullholland zaczął już nawet przyjmować zakłady.

Zębate ptaszydła kołowały w pewnym oddaleniu, jakby nie śmiały zakłócać szykującej się bójki.

– Chromolę was wszystkich – szepnąłem. – Ja tam idę się schować w trawie...

Tym razem przeszkodził mi Bambo.

Przeszkodził? Marynarz z Czarnego Łądu przemknął między mną a skrajem łąki, piskliwym głosem wzywając duchy przodków. Jego wrzask wywabił spośród traw wąziutkie, niezmiernie zaciekawione pyszczki, jeden, dwa, pięć... Oszołomiony, przestałem liczyć, a potem zalała mnie podła ulga, gdy przypominające koraliki oczka stworzeń spojrzały za umykającym Bambo. Bestyjki nie były bowiem duże

– wzrostem nie dorównywały dorosłemu człowiekowi – ale ostre kły w rozchylnych ze zdumienia pyskach w mig rozwiały wszelkie nadzieje, że i one gustują w zielsku. Jeden po drugim potwórki jęły wyskakiwać z zarośli i gnać w ślad za Murzynem. Ostatni zatrzymał się i zerkał na mnie zaintrygowany.

– Pomocy... – bąknąłem sparaliżowany strachem. – Bosmanie...

Wrzask Bambo najwyraźniej wyrwał smoka ze stanu odrętwienia, wywołanego przełknięciem całej baryłki okrętowego rumu na raz. Potrząsnął ogromnym łbem i zaryczał straszliwie, a przyglądający mi się bacznie stwór pisnął, podskoczył i zniknął wśród traw. Co ciekawe, ogłuszający ryk smoka przywrócił zdolność oceny sytuacji również O'Neilowi. Bosman przystanął, zagryzł wargę i zmarszczył brwi, a jego klaka umilkła, także nagle przytomniejąc.

– Zaraz, zaraz... – burknął niepewnie bosman. – Porucznik Fowler coś mówili... Że jakoś tak... Całkiem mi z głowy wyleciało...

– Mówili, że zaraz po znalezieniu kapitana trza wiać na okręt – rzucił któryś z przytomniejszych klakierów. – Z kapitanem, jak się uda.

– Bo się rozeźlą – dodał inny, nieco drżącym głosem. – Okropnie się pan porucznik rozeźlą.

Chciałem wstać i wesprzeć ich słowa autorytetem kapitana, gromkim głosem nakazać wszystkim natychmiastowe wycofanie się na okręt, ale nie zdążyłem. Ktoś, chyba Smitty, bezceremonialnie ucapił mnie za fałdę kurtki mundurowej, ktoś inny mu dopomógł i tak oto znalazłem się w centrum wrzeszczącej ze strachu, strzelającej z pistoletów, przeklinającej, śmierzdzącej potem, rumem i smołą tłuszczu, która pogalopowała ku brzegowi zatoki, goniona przez zataczającego się, roztrzaskującego ogonem skały smoka. Na każdy ryk smoka odpowiadaliśmy zbiorowym wrzaskiem przerażenia, nic więc dziwnego, że czujny porucznik Fowler przywitał nas tak, jak należało.

Pierwszym, co ujrzałem po wyswobodzeniu się z żelaznego uścisku Smitty'ego, była przepiękna, pomalowana na czarno burta „Magdaleny”, szczerząca się ku nam dwunastoma przepastnymi, wciąż dymiącymi lufami dział.

– Do łodzi! – wrzasnąłem. – Do łodzi!

Nie było ani sekundy do stracenia. Wiedziałem, że działa fregaty wypalą, gdy tylko smok wyłoni się zza wzgórz, ale istniały dwie możliwości rozwoju wydarzeń. Jeśli działa wycelował sam Fowler, pociski przejdą nad naszymi głowami. Jeśli natomiast ogniem kierował maniackalny, uzależniony od zapachu prochu artylerzysta Zeeman, pociski polecą w stronę smoka. Obojętnie jakim torem. Ja zaś właśnie uświadomiłem sobie, że miałem w tym życiu jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Świadomość ta zmobilizowała mnie do jeszcze większego pośpiechu, przez co w mig znalazłem się przy wyciągniętej na brzeg szalupie, którą O'Neil przybył nam na odsiecz.

– Raz i dwa, chłopaki! – darłem się. – Spychamy!

Nie musiałem nikogo zachęcać do dodatkowego wysiłku. Bosman, Mullholland i jeszcze paru tęgich marynarzy zepchnęli łódź z taką werwą, że ledwie ją złapaliśmy, nim zdryfowała na szerokie wody zatoki. Błyskawicznie wdrapaliśmy się do środka i w panice, drżącymi rękami złapaliśmy za wiosła. Woda po obu burtach szalupy aż się zakotłowała.

Działa fregaty otworzyły ogień w chwili, gdy zanurzona aż po okrężnicę, odrzucająca wysoką falę dziobową łódź znalazła się jakiegoś dwa kable od brzegu. Najpierw huknęła dziobowa pościgówka, a po niej kolejno odzywały się armaty ustawione wzdłuż burty. Okręt znikł w kłębach białego dymu, co rusz rozdzieranego kolejnym ognistym jęczorem, kule zaś z gwizdem przelatywały nad naszymi głowami i siały spustoszenie na brzegu. Stado ścigających Bambo stworzeń rozbiegło się z dzikimi piskami, a pociski uderzały w ślad za nimi, rozrywając jednego na kawałki i wysyłając drugiego szerokim łukiem w powietrze. Kilka pocisków uderzyło też u stóp naszego smoka, obsypując monstrum szerokimi fontannami piachu. Ostatnia walnęła go prosto w pysk.

Potwór zatoczył się raz i drugi, rozdeptując kolejnego z prześladowców Bambo, lecz w końcu znieruchomiał i zwrócił łeb ku nam. Żuchwa smoka wyglądała, jakby wypadła z zawiasów, ale w jego czerwonych ślepiach tętniła żądza mordy.

Dlaczego sądziłem, że na okręcie będziemy bezpieczni? – pomyślałem z rozpaczą, patrząc jak smoczysko zdecydowanie wchodzi do wody.

– Kapitanie! – Ktoś szturchnął mnie w ramię i wskazał na okręt.

Przy milczącej już, przesłoniętej kłębami dymu burcie fregaty z pluskiem opadła na wodę niewielka łódź – ani chybi moja własna, kapitańska jolka – na którą zsunęło się kilka osób. Nie dostrzegłem twarzy, ale wystarczyło usłyszeć stłumione, trwożliwe skomlenie psa i złapać błysniecie purpurowego munduru, by wiedzieć, że tylko skończony naiwniak mógłby mieć nadzieję na rychły kres tej szaleńczej awantury.

– Oto jest i dziewica dla smoka! – Od dziobu dobiegł mnie autorytatywny głos Danny'ego. – Szast prast i zaraz będzie po problemie.

Porucznik Edward Love był ubrany jak na audiencję u króla. Starannie ogolony, wystrojony w najlepszy mundur i kapelusz zsunięty zawadiacko na czoło, stał na rufie jolki i mierzył z trzymanego w jednej ręce pistoletu w plecy wiosłujących w panice, przerażonych marynarzy. Drugą ścisnął smycz rozdygotanego, próbującego wpełznąć się pod ławkę Winstona. Przysiągłbym, że w chwili, gdy wypłynęli spoza zasięgu dymów, tłumaczył mu coś cierpliwie. Kilka pociągnięć wiosła później zauważył już nas i wesoło zamachał ręką zbrojną w pistolet.

– Ahoj, kapitanie! – zawołał z niekłamana radością. – To ci dopiero wspaniały dzień, nieprawdaż?

– Edwardzie, co ty, do cholery jasnej, wyprawiasz? – wykrzyknąłem z rozpaczą znad swego wiosła. – Przecież tam jest...

– ...smok! – Edward niemalże przytupnął w miejscu, jolka aż się zachybotła. – Najprawdziwszy smok. Zaiste, od zawsze marzyłem o szansie stoczenia honorowego pojedynku z którymś z tych stworzeń! Niczym Perseusz, stający naprzeciw Meduzy, niczym Bellerofont przeciwko Chimerze, Apollo przeciwko Pytonowi, tak ja ruszam do boju z tym straszliwym rumakiem ciemności, ja Edward Love z Królewskiego Korpusu Piechoty Morskiej!

– Na łeb ci padło! – wrzeszczałem. – Zwiewaj na okręt, ty cholerny molu książkowy, bo w przeciwnym razie...

Nasze łodzie zbliżyły się do siebie z wielką prędkością i po chwili mogłem już dostrzec szczerą zdumienie, malujące się na obliczu Edwarda.

– Doprawdy, Williamie! – rzekł oburzony. – Cechuje cię potępiania godna amoralność, podobnie zresztą jak porucznika Fowlera oraz resztę załogi tego statku, nie wyłączając owych dwóch, skądinąd przemiłych, młodych ludzi. – Przy tych słowach wskazał łufą pistoletu obu sterroryzowanych wiosłarzy. – Przedstaw sobie, iż wykazali całkowitą obojętność wobec wiecznej sławy! Musiałem ich siłą przymusić, by spuścili tę łódkę na wodę.

Nagle rozległ się donośny plusk, a zanurzona głęboko łódź aż zakołysała się na idącej od brzegu fali. Odwróciłem się instynktownie i ujrzałem, jak najwyraźniej zdezorientowane smoczysko podnosi się z wody i potrząsa gwałtownie głową. Przez moment potwór próbował kłapać szczękami, trwale rozregulowanymi salwą burtową fregaty, po czym ryknął głośno i znów się przewrócił.

– Oto jesteśmy świadkami rytualnego tańca smoków, który zawsze poprzedza walkę z godnym siebie przeciwnikiem – zauważył Love, z trudem utrzymując równowagę na rufie podskakującej jolki. Winston znów zaskomlał z niewysłowionym strachem.

– Gdzie tam taniec, panie poruczniku! – oznajmił Baryła. – Słabuje bestyjka, ot co! Każdemu by się rygać zachciało po obwąchaniu Butchera i wychlaniu beczki rumu!

– Słabuje? – Edward zmarszczył nos. – A zatem trzeba dać mu fory. Winstonie – zwrócił się do skamlącego zwierzęcia, próbującego rozpląszyć się na dnie łodzi. – Gdy będziesz wystawiał mi smoka, nie podchodź do niego zbyt agresywnie, nie próbuj też gryźć go przez pierwszy kwadrans walki. Ja zaś...

„Magdalena” znów grzmotnęła salwą burtową, tym razem na przeciwnej burcie. Nie widziałem przeciwnika, do którego teraz strzelał Fowler, lecz dostrzegłem jego rozpaczliwe machanie z pokładu rufowego oraz linę kotwiczną, wolno wpełzającą do kluzy. Vincentowi cholernie się śpieszyło, a ja nie wątpiłem, że nie żartuje. Musieliśmy jak najszybciej znaleźć się na pokładzie fregaty!

Od jolki Edwarda dzieliły nas tylko kable, widziałem już wyraźnie blask w jego oczach, który nawet świętego Jerzego wpędziłby w kompleks niższości. Głos rozsądku mówił mi, że nikt i nic nie zdoła go zmusić do rezygnacji z misji, która opanowała jego świadomość. Musiałem więc skorzystać z fortelu. Ale jakiego?

Niespodziewanie rozwiązanie podsunął mi sam Winston. Tradycyjnie darzyłem tego spasionego, tchórzliwego, wiecznie obślinionego buldoga niechęcią wprost proporcjonalną do miłości, którą otaczał go Edward, ale w tym momencie zapalałem do niego stokroć gorętszym uczuciem. Zauważyłem bowiem, że po dostrzeżeniu naszej łodzi pies zmienił taktykę. Już nie próbował udawać niewidzialnego na dnie jolki, ale zaczynał z wolna przesuwac się w stronę dziobu, jakby testując długość smyczy. Nie spuszczał z nas przy tym spojrzenia swych malutkich, mokrych ślepi, w którym odczytałem bezbrzeżną tęsknotę.

– Mullholland! – szepnąłem do marynarza trzymającego rumpel. – Steruj na jolkę! Smitty i Sanders, łapcie za jakiś worek, a pan, bosmanie, proszę przygotować knagę.

Marynarze posłuchali bez wahania. Mullholland wychylił rumpel, a szalupa, pchnięta nagłym uderzeniem wiosła, ostro skręciła ku jolce. Edward, który wyprężył pierś i przymknął oczy, najprawdopodobniej deklamując w myśli ustępy z „Pieśni o Rolandzie”, nawet tego nie zauważył. Nie zwrócił również uwagi na to, że Winston podpełzał na dziób jolki, obejrzał się na swego pana i spał mięśnie do skoku.

Nigdy w życiu nie zapomnę chwili, gdy obleśnie tłuste psisko wzbilo się w powietrze i poszybowało ku naszej szalupie, zostawiając za sobą rozkołysaną jolkę oraz zdumionego Edwarda, spoglądającego na dłoń,

z której wyslizgnęła się smycz. Czas jakby zaczął płynąć wolniej – patrzyłem na rozkołysane fałdy cielska buldoga, na jego rozwarty szeroko pysk i strużki śliny, unoszące się za nim na podobieństwo babiego lata i naraz zwątpiłem, czy uda nam się go w porę złapać. Na szczęście pies wycelował dobrze. Grzmotnął idealnie w okężnicę, pozbawiając tym samym siebie przytomności, a bosmana zastosowania dla ściskanej w garści knagi. Tymczasem Smitty i Sanders sprawnie złapali zwierzę do worka.

- Do wiosła! – wrzasnąłem. – I nie ociągać się!
- Wiiiinston! – zawył rozdzierająco Edward. – Billy, natychmiast oddaj mojego psa, niegodziwcze!
- Z miłą chęcią, Edwardzie! – odkrzyknąłem. – Pozwolisz jednak, że jak na dżentelmenów przystało, transakcji dokonamy na pokładzie okrętu, siedząc przy stole!

Bywało, że przez cały długi rok pod rozkazami znieprawionego gubernatora de Truesse Vincent Fowler nie wyrzucił z siebie tyłu bluzgów, co tego jednego popołudnia, gdy „Magdalena” wypływała już z owej feralnej zatoki. Większość owych inwektyw – od siebie dodam, że całkiem niezaskuszonych – była skierowana pod moim adresem, a wywrzeszczana została publicznie, co wskazywało na jawną niekonsekwencję porucznika w kwestii troski o morale załogi. Wytknąłem mu to oraz wiele innych spraw równie głośnym wrzaskiem.

– Jestem ci niepomiernie wdzięczny! – darł się Vincent Fowler. – Cholernie wprost wdzięczny za niebывałą szansę przetestowania dział fregaty w walce z pieprzonymi węzami morskimi!

Czuję ogromną ulgę na myśl, że mogłeś choć przez moment odpocząć wśród zieleni tej cudownej wyspy, dając mi tym samym szansę zajęcia się kwestiami tak prozaicznymi jak obrona twojego okrętu!

Myślałem, że go uduszę, teraz zaraz, na oczach wszystkich.

– Odpocząć! – wyszczałem. – W istocie, zasnąłem wywczasów co niemiara! W pewnym momencie zacząłem się nawet nudzić, tak więc wymyśliłem sobie tego wielkiego smoka, żeby coś się zaczęło dziać!

Drżącym palcem wskazałem coraz mniejszego potwora, który z zacięciem łupał łbem w przybrzeżne skały, próbując wstawić szczękę na miejsce. Przerzedzone stadko latających ptaszydeł krążyło tuż nad jego głową, najwidoczniej mając nadzieję, że w którymś momencie uderzy zbyt mocno.

– Smoka! – Vincent wybuchnął pogardliwym śmiechem. – Widziałem tego twojego smoka! Ledwie na nogach mógł ustać! A my tu mieliśmy totalne piekło! Zewsząd wynurzały się węże morskie, syczały, pluły, przepływały pod kilem... Już myślałem, że po nas! Że rozwałą ten nieszczęsny okręt! Waliliśmy salwa za salwą, a one nic! Tylko za kulami nurkowały, gdy te odbijały się rykoszetem od fal!

– Bo to pewnie młode były – stwierdził Baryła. – Młode węże morskie tak mają, ciągiem im zabawa w głowach...

– Stul pysk! – ryknęliśmy obaj z taką siłą, że wystraszony Danny odskoczył w tył.

– Nigdy nie przerywaj swemu dowódcy, gdy ten się kłóci z pierwszym oficerem! – dodał z wściekłą miną Vincent. – Bo to jedyna okazja, gdy może poznać prawdę o sobie!

Darliśmy się na siebie jeszcze dobry kwadrans, aż okręt na powrót wniknął w ścianę białej mgły. Wtedy to podszedł do nas Miliard i zapytał, jaki ma obrać kurs. Widać było, że przeżycia u brzegów smoczjej wyspy i nim wstrząsnęły, tak więc dołożył wszelkich starań, by pytanie zostało zadane możliwie najbardziej neutralnym tonem. Rzecz dziwna, jego wysiłki przyniosły skutek i niemal natychmiast poczułem, jak wraca do mnie spokój. Vincent również odetchnął głęboko i rozwarł zaciśnięte mocno pięści.

– Wracamy na poprzedni kurs – powiedziałem cicho. – Miliard, zostawi pan jedynie zrefowane marsie. Proszę też posłać na dziób człowieka z sondą i wywiesić francuską banderę.

– Francuską banderę? – zdumiał się Miliard, a w jego głosie tradycyjnie zgrzytnęła złośliwość. – Jeśli chce pan tym samym oddać cześć najinteligentniejszemu żeglarzowi na pokładzie, to pragnę pana poinformować, iż jest on nieczuły na takie gesty.

– Bynajmniej, Miliard. – Skrzywiłem się. – Gdzieś w tej mgle włóczy się HMS „Niobe” i liczę na to, że dostrzeżesz francuską banderę, puści się za nami w pościg na otwarte morze, gdzie będziemy mogli ją zgubić. Nie pałam zbytnią miłością do Royal Navy, ale wolałbym oszczędzić swoim rodakom losu, którego sami z trudem uniknęliśmy.

– Francja nie jest w stanie wojny z Anglią – wycedził Miliard.

– Czyżby? Masz ci los. Na szczęście mało jest oficerów Royal Navy, którzy pamiętali o polityce na widok flagi ze złotym liliami, nieprawdaż?

Mam osobliwe wrażenie, że nikt z całej załogi nigdy nie opowiedział nikomu o zdarzeniach na owej feralnej wyspie.

Nie do końca wiem dlaczego, bo przecież przechwalanie się i snucie zmyślonych opowieści jest integralną częścią mentalności każdego żeglarza. Sądzę jednak, że o wiele łatwiej jest opowiedzieć historię wymyśloną czy zasłyszaną aniżeli taką, którą przeżyło się osobiście. Czy można bowiem czerpać przyjemność z opowiadania o doznanym strachu, o panicznej ucieczce i próbach ukrycia się? Chyba nie. Kilkakrotnie, gdy rum osłabił już moją czujność w którejś z zapadłych tawern Port-Au-Prince czy Port Royal, miałem zamiar opowiedzieć kompanom o spotkaniu ze smokiem, ale zawsze rezygnowałem. Nie wiem dlaczego, naprawdę. Może dlatego, żeby co bardziej szaleni żeglarze nie zaczęli owej wyspy szukać?

Vincent Fowler, jeden z najodporniejszych na przesady, trzeźwo myślących żeglarzy pod słońcem, przemilczał historię o smokach z obawy przed wyśmianiem. Edward Love, który zresztą nie odzywał się do mnie przez dwa miesiące, obrażony o porwanie psa i odebranie mu szansy zdobycia wiecznej sławy, przemilczał ją ze wstydu, że nie udało mu się odegrać roli bohatera. Ale czemu milczy załoga? Może zabronił im bosman O'Neil, który nie chciał, by ucierpiała jego reputacja człowieka nigdy niecofającego się przed bójką?

Doprawdy nie wiem. A czasem nawet myślę, że cała ta awantura była jednym wielkim, koszmarnym snem. Następnego dnia o świcie, gdy ściana mgły dawno znikła na horyzoncie, a ja szykowałem się do wygłoszenia kazania na marynarskim pogrzebie Bambo i Butchera, okazało się, że ogromny Murzyn jak zwykle siedzi na topie grota i mamrocze coś na temat swoich mżimu. Moja radość szybko przeszła w zgrozę, gdy nagle spod pokładu wychynął sam Butcher, nieco poobfukiwany, ale w dobrym nastroju, charknął, splunął, zaklął, tupnął racicą i zaryczał:

– Świeże mięęsko!

Następnie podał nam jajecznicę z niezwykle wielkich jaj.

Jedynym, co wciąż przypomina mi o zajściach na przeklętej wyspie smoków, jest inwencja artylerzysty Zeemana, który, załamany nieskutecznością artylerii okrętowej w walce z węzami morskimi, rozpoczął pracę nad skonstruowaniem specjalnego pocisku do niszczenia celów podwodnych. Moim zdaniem traci tylko czas, ale mu nie przerywam. Mam bowiem dziwne przeczucie, że jeśli mu się mimo wszystko uda, to kiedyś w przyszłości ten wynalazek może się jeszcze bardzo przydać.